

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno - literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Kilka słów o pieśni huculskiej

Istnieje w huculskim narzeczu osobliwe, stare pasterskie znaczenie słowa „kochaty”. Oznacza ono chów staranny, pielegnowanie, a w dalszym ciągu i pieszczanie. O dobrze odkarmionym cielątku mówi się, że jest „idkochana”. O dobrze utrzymanym od zębienia hodowanym a przeto i łaskawym koniku mówi się, że jest „widkochany”. Ale też hodowanie, pielegnowanie i piastowanie małego dziecka to — „kochanie”. O hodowcy koni, lub wołów powiada się: „kochaje koni (woły)”. O gaździe, który lasu nie rabie, lecz pielegnuje i utrzymuje go, zostawia, aby rósł mówi się: „tot kochaje lis”.

Słyszałem to słowo użyte także, w tem samym znaczeniu, w stosunku do pieśni. Tak opowiadał mi mój piastun, bazarz, zwany Kuzykiem:

— Ot dawno taki ludy były, szło śpiwankie kochały. Je deś i teper i taki. Ale kudy użę. O! Tobo dobro było, ta życie, maty cziestaj toby śpiwankie sobi kochaty, taj bajkie, taj usieku modu...¹⁾

Także o tym i owym oprysku i ważku i dziś jeszcze opowiadają ludzie, że nie tylko umiał ładnie śpiewać pieśni, ale nawet, że je sam układał, że „kochał” pieśni, hodował je i piastował jak hodowca cieląt, konie i woły piastuje. A nawet przypisuje niektórym opryskom, że ułożyli te lub ową melodię po nich nazwaną. Bo i dzisiaj jeszcze znajdują się w górach huculskich ludzie, którzy chętnie uczą się starych pieśni i powtarzają je, a także „wykochują” nowe pieśni o najnowszych zdarzeniach świata lub własnej wsi.

Ludzie nie tutejsi, gdy przybędą w góry i gdy zdarzy się, że na zabawie czy na weselu usłyszą muzykę i pieśń huculską, gdy usłyszą brzęczenie cymbałków, jakby granie roju pszczoł, lub dźwięki floyer koloratury, zmienne i kapryśne, ale jakby nigdy nie kończące się, z trudnością mogą rozróżnić melodię. Albo wydaje się, że jest zbyt prosta i monotonna, albo, że zbyt zawiślana i bez wyraźnej postaci. Zdarza się nawet, że ludzie przywykli np. do pięknych melodyjnych stepowych pieśni ukraińskich, z pewną pogardą, lub lekceważeniem wyrażają się o pieśni huculskiej. Mierzą ją bowiem miarą innej kultury, innej fazy dziejowej i niejako innej epoki muzycznej, a nie wiedzą, lub nie zauważają, że głównym zadaniem tych melodii jest: być podkładem rytmicznym dla słowa, atmosferą dla poezji i falą dla wyobraźni i obrazów poetyckich.

Należy jednak powiedzieć, że i sama muzyka huculska jest interesująca, a nawet swoiście piękna. Rytm wydaje się monotonna, melodyj niewiele, ale to wszystko ciągle się zmienia, skrzypek, albo grajek grający na floyerze nigdy tak samo nie powtórzy tej samej nuty, a ciągle i bogate melizmaty i ulepszenia rozszerzają świat tej muzyki w jakąś, jak gdyby inną dymensję i ukolysują w nastrój starowieczny, który tak dobrze nadaje się do słuchania starych pieśni epicznych. I także w rytmach swych ma huculska pieśń surowe piękno, junacką rzeźkość i rozma-

szą młodzieńczość. Przy tej charakterystyce przypomina się mimowolnie, co Witołd Hulewicz, w swej pięknej książce o Beethovenie, mówi o motywie radości w IX-tej symfonii, porównując go z prostymi i radosnymi górkami motywami.

Jeżeli zaś chodzi o całokształt pieśni huculskiej, o związaną z tego rodzaju muzyką, treść poetycką, przywodzi ona na pamięć dawne pieśni epiczne.

Przypomnijmy sobie np. ten ustęp Odysei w pieśni VIII, gdzie Roides śpiewa o Aresie, Afrodycie i Hefajście, a słuchacz wsłuchując się rozumie każde słowo i rozpalają swą wyobraźnię wątkiem epicznym. Niejeden z nas w młodości czytając ten ustęp może nie bardzo wierzył, że to ktoś w ten sposób istotnie śpiewał, a raczej gdyby ktoś nas o to zapytał, bylibyśmy skłonni sądzić, że jest to może pewien sposób literacki wtrącania epizodów przez przedstawienie ich jako pieśni. Tak bowiem przywykliśmy do śpiewu operowego, do supremacji melodii nad słowem, że tej „pieśni” opowiadającej, pieśni podbudzającej i organizującej wyobraźnię nie możemy sobie przedstawić. Tymczasem i owa pieśń Aoida i zapewne sama Odyseja były to śpiewy epiczne, nawpół recytowane, zaś dźwięk forming, a może i melodia były jakby lekką gąz nastroju, spowijającą słowo i tłem dla opowiadania.

Ciekawą też charakterystykę podaje Rybnikow, który zbierał w latach 1860-tych staroruskie pieśni epiczne, a raczej Stariny na północy Rosji, za jeźdźcem Onega. Powiada Rybnikow: „Takiego przyspiewu nie słyszałem dotąd. Żywy, wesoly, nieoczekiwany wzorzysty, czasem przyspieszał się, czasem urywał się i całym swym ładem przypominał coś starodawnego, zapomnianego przez nasze pokolenie”. Gdy się czyta cały ten opis wrażenia, jakie odniósł Rybnikow słuchając „skaziciela” tych starych pieśni, które są chlubą staroruskiej epiki, mimowoli przypomina się huculski sposób śpiewania.

Podobieństwo Bylin, w szczególności z huculskimi kolendami i w archaicznych formach językowych, w obrazach w przesadzie, w tyndowości baśniowo epicznej, w zwrotach, w rytmice i nastroju, jest niezaprzeczane. Powstała mimowoli przypuszczenia co do pokrewieństwa. Przychodzi na myśl, że po rozbiciu Starorusi przez Tatarów, pieśń, niegdyś przez wędrownych śpiewaków rozpowszechniana, powędrowała wraz z uciekającymi plemionami na dalekie, a odległe od siebie kresy jak Karpai i Północ Rosyjska, jak Białoruś i może Polesie i tam utrzymała się jako resztki i ułamki jakiejś starej archaicznej kultury i języka. A już na miejscu od przyrody, od zajęć i warunków społecznych nabrała soków, barw i odcieni.

W pieśni huculskiej bardzo stara i dość bogata epika poukrywana jest przede wszystkim, jak już rzekliśmy, w kolendach, a także do pewnego stopnia w pieśniach obrzędowych, np. w pieśniach weselnych. Są także nowsze pieśni epickie, jak gdyby powieści poetyckie. Ale w innych pieśniach, czy to połoniniskich, czy to kupletach podczas tańca śpiewanych, jest sporo epicznego elementu. Najstarsze związane z obrzędami i zwyczajami, pieśni stosunkowo lepiej się zachowały niż nowsze pieśni epiczne. Pochodzi to także stąd, że pieśni obrzędowe recytuje śpiewak ni-

wpół zawodowy tzw. „berez”²⁾, co jest zapewne pozostałością dawnego zawodu śpiewackiego. Natomiast pieśni nowsze powstają i giną spontanicznie i przekazują się raczej przypadkowo. Jednak i te „świeckie” pieśni skupiają się wokół świąt i chrzmów³⁾, a szczególnie około Bożego Narodzenia. Brak innych stałych okazji przynosi ze sobą że i stare pieśni o opryskach i wogóle starsze pieśni, stanowiące pewną całość epiczną, śpiewa się np. w czasie kolendy. Tembardziej, że „berez” jako śpiewak nawpół zawodowy i te pieśni zna dokładniej niż inni.

Kolendy zawierają obrazy epiczne nieraz świetne, ale stereotypowe. Są to bowiem życzenia szczęśliwej doli dla gospodarza, dla gospodyni, dla „legin” (parobka) dla dziewczyny, dla dziecka, dla wdowy. Zatem stosownie do sytuacji rodzi się opis i obraz typowy. Obrazy te są unormowane jakby postaci cerkiewne bizantyjskich świętych. Są pośród nich bardzo stare nuty którym chrześcijaństwo nadało swoją formę, jak pieśń o Świętym Mikołaju Ratowniku, który przewozi dusze przez morze i nurkując ratuje grzeszne dusze z morskiej topieli (Św. Mikołaj był patronem wędrowców, a może i wędrownych śpiewaków). Jest niejedna piękna legenda jak np. gdy z kropli potu Chrystusa powstają chaty, z łez winnice, a z kropli krwi cerkwie. Są także i obrazy jakby już nieco związane z terenem górskim jak np. o świętych Pańskich owczarzach przychodzących z połoniny ku ludziom. Nie brak obrazów ludzko ujmujących, przedstawiających świętych jako pracowników w polu, ale wszystko są to obrazy typowe. Natomiast pieśni epiczne nieobrzędowe opisują losy i dolę indywidualną, a nie schematy świetne, co, jak świateczne rzywnakłada kolendzie. A i te pieśni mają wiele zwrotek stereotypowych i konwencjonalnych. Oto kilka z nich. Śpiewak zaczyna np. pieśń w ten sposób „Postuchajcie dobrzy ludy, szio choczka kazaty”. Albo też: „Czy wy wyczuli dobrzy ludy taku nowynoczku”. Lub też znowu: „A ja pidu w połonynku, a w totu Sudiu, spiwanczkie zaśpiwaju, bo spiwaty wmiu”. Czasem jeśli pieśń jest smutna odrzuca zapowiada to pierwszą zwrotką: „Oj kowała zazuleczka, żylibno kowała” i podobnie stereotypowe bywają zakończenia. Naprzykład: „Oj kowała zazuleczka pod kryłciemy sywa o teper sy Tomaniukom spiwanka skifczyła”. W innej znów wersji: „O taka, Tomaniukie, ze was pyszła sława”. Śpiewają tak historię potopu świata w swojej redakcji, pieśń o królu Salomonie, czy też o Doboszu, o watażku Sztole, o opryskach Tomaniukach, o opryskach Pylypku, o Nesteruku, o gaździe Poze — Szumeju i o Parasce co czarowała lwana i wiele innych.

W ciągu ubiegłego wieku zbieracze i badacze, polscy, ukraińscy, pospisywali wiele pieśni. Należą tu przede wszystkim prace Wacława z Oleska, Żegoty Paulego, Oskara Kolberga (Pokucie) Hołowackiego) Narodnyja Pieśni) Halickoj i Ugorskoj Rusi), Suche-wycz, Hnatiuk. Dzieł syntetycznych jest nie wiele. Przede wszystkim należy tu wymienić świetną pracę Hilarjona

Świeckiego, w której dał także charakterystykę i rodowód kolendy huculskiej (Rizdwo Chrystusowe w pochodli wikiw).

Jest to godne uwagi, że niektóre niezbyt stare pieśni zebrane już przez dawniejszych i to bardzo sumiennych zapisowaczy zostały zapisane w formie zniekształconej. Gdzie tradycja jest przystępna i przypadkowa, pieśń deformuje się szybko. Kolendy mają dłuższy żywot, o ile duchowni nie wprowadzają pieśni kościelnych. Charakterystyczne jest i to, że w XIX wieku zaginęły niektóre pieśni już po zapisaniu ich przez zbieraczy. Zjawiska znikania starych pieśni obserwuje się i teraz po wojnie, która wstrząsnęła zakątkiem huculskim i wytrzebiła niemało dawności. Już w Żabim jako będącym bliżej komunikacji, młodsze pokolenie nie zna, lub zaledwie słyszało o dawnych pieśniach, niegdyć powszechnie znanych. Także i tam, gdzie wprowadza się kolendy kościelne utrzymywane przez wieki stare kolendy znikają wprost błyskawicznie. Oprócz zniekształceń pieśni, oprócz warjantów i przeróbek zdarza się także, że pieśń jak gdyby rozbija się na kilka części, albo wprost na ułamki. Jeden śpiewak albo jedna wieś zna jedną część, a drugi śpiewak, lub drugie osiedle inną część. Czasem rzeczywiście z pieśni zostanie tylko jakiś nieznaczący szczałek. Iwan Franko zadał sobie trud zrekonstruowania z różnych wersji jednej z takich pieśni a mianowicie znanej pieśni o watażku Sztole.

Po wojnie powstały nowe pieśni. Trzeba jednak powiedzieć, że w miarę zanikania swoistych tematów, albo też przyswojonych przez fantazję w sposób oryginalny tematów, które właśnie dawała stara odrębność huculska, także forma poetycka jest coraz gorsza i nieraz wprost banalna. Widać to już nawet na nieco dawniejszych pieśniach żołnierskich. Z tych najlepsze były te, gdzie opisuje się rozstanie z chatą i górami. Natomiast o ile śpiewak zaczyna opisywać życie żołnierskie i tło, z którym nie jest głębiej związany, pieśń wychodzi nadzwyczaj blade.

Także wprowadzanie zbyt wielu słów obcych, bezbarwnych, niemających organicznego związku z życiem i z językiem i nie nabywających prędko głębszych walorów uczuciowych, — szpeci poezję.

Lecz dzisiaj jeszcze można usłyszeć starych śpiewaków, recytatorów huculskich. Można, — warto, i należy ich posłuchać. Czy „berez” podczas kolendy i wesela, czy zwyczajnego „śpiewaka” na tołoc na zabawie w czasie chrzmu. Nietylko warto usłyszeć, ale i zobaczyć, a także zobaczyć jak zgromadzeni słuchają swoich śpiewaków. I tak n. p. w czasie kolendy, w bardziej zamożnej chacie, ludzie tłoczą się do chaty jak na przedstawienie. Tłumnie dosiadają ławki ludzie starsi, młodzież podpiiera ściany, lub poosiada na małych stołkach, a dzieci zaglądają z górnej części pieca, jakby z galerii jedno przez ramiona drugiego. I tak słuchają godzinami. „Berez” zaśpiewuje pieśń główną jedną za drugą, a chór powtarza, lub też dodaje refren. Później kolednicy tańczą t. zw. „ples” (plasz) żywy taniec połączony z żartobliwymi śpiewami, podczas którego zbiera się na cerkiew. Na pożegnanie nawet starcy biorący udział w kolendzie krocza w tanecznym pochodzie i tańczą przed chatą, na śniegu, prastary taniec

¹⁾ Moda — sposób (z włoskiego mod) Przekład: Oto dawno tacy ludzie byli co śpiwanki piastowali. Są gdzieś i teraz tacy. Ale gdzie już im, Tobo było szczęście i życie taki mieć czas i piastować sobie śpiwanki, bajki i wszelakie rzeczy.

²⁾ Poeta huculski Fedkowycz objaśnia to słowo tak: bereza — perezaprowdyr — przedni przewodniczący kierownik

³⁾ chrzm uręczystość cerkiewna rodzaj odpustu.

jakby obrzędowy, podnosząc topory w tańcu.

Zapoznanie się z żywą huculską pieśnią przybliży nas do tego nastroju świętu dziejów, do tej atmosfery dawności, o których mówi zbieracz bylin Rybakow. A w takim nastroju niejedna skołatana, zbyt wcześnie zwiędła i zestarzała dusza może znaleźć odpoczynek,

może odnowić się na chwilę, jakgdyby się przeniosła w ten młodzieńczy wiek ludzkości. Dla badacza zaś niejedno jeszcze może być do zapisania. Może się uda coś uzupełnić, odszukać w żywszej formie to, co zbyt martwo, bo przypadkowo, zostało zapisane.

Sto lat temu rosyjski poeta Lermontow w „Pieśni o kupcu Kałasznikowie“

wskrzesił bylinę, zindywidualizował i uwspółcześnił ją w sposób cudowny. I dziś może świat byłby wdzięczny, gdyby się zjawiał poeta, któryby znalazł podjęcie do tych huculskich motywów, przeniósł je niejako w nasze czasy i nadał im wyraz dostępny, przemawiający do serc naszych pokoleń.

Stanisław Vincenz

Współczesne budownictwo kościelne

Pierwotny typ kościoła, — rzymskiej bazyliki z absydą i nawą, — ulegał w ciągu wieków stopniowym modyfikacjom.

Kościół, będący miejscem skupienia się, modlitwy, jest równocześnie wyrazem hołdu człowieka dla Stwórcy. Wyszukuje się najcenniejszy, najwytworniejszy materiał budowlany, ozdabia się wnętrza malowidłami i obrazami największych artystów, buduje się strzeliste wieże, kolumny i sklepienia.

Każdy styl epoki znajduje w architekturze kościelnej swój pełny, najdoskonalszy wyraz, — czy to będzie surowy gotyk, czy renesans lub barok.

Kościół stają się coraz większe i wyższe „przy coraz większym bogactwie motywów architektonicznych.

Wiek dziewiętnasty nie przyniósł na polu budownictwa kościelnego nic nowego. Czy — jak chcą niektórzy — wynikało to z braku inwencji, z upadku religijności i wiary? Nie, — przyczyną szukać należy gdzieś indziej. W wieku XIX. technika budowlana doszła do szczytu swego rozwoju: ówczesne środki techniczne i materiały, stojące do dyspozycji zakreślały wyraźnie pewne maksymalne granice, poza które nie mógł iść żaden najgenialniejszy nawet budowniczy.

Materiał budowlany — kamień i cegła — ciężki i zajmujący dużo miejsca, decydował o całej strukturze kościoła i niemięjszą rolę grały tu również i względy materialne, ogromne koszty budowy, przeciągającej się przez długie miesiące i lata.

Punktem zwrotnym w architekturze było zastosowanie w początkach XX. wieku konstrukcji żelbetonowych. Nowy ten system budowy, otwierający nieznane dotychczas możliwości, musiał oczywiście znaleźć zastosowanie również i w budownictwie kościelnym.

Kościół katolicki bowiem na polu sztuki zajmował zawsze stanowisko bardzo liberalne, nie potępiając a priori i nie odrzucając żadnej nowości, o ile nie sprzeciwia się ona pewnym zasadniczym kanonom.

Dał temu wyraz Ojciec św. Pius XI. w Swem przemówieniu dnia 27 października 1932 z okazji otwarcia Piniakoteki watykańskiej, — podnosząc, że budownictwo kościelne powinno opierać się na wiekowej tradycji i z niej czerpać natchnienie do tworzenia form nowych i pięknych, w świetle wiary i geniusza.

Toteż śmiało można twierdzić, że wiek dwudziesty dał początek zupełnie nowemu budownictwu kościelnemu, wyzyskującemu cały szereg nowych możliwości technicznych, dzięki zastosowaniu konstrukcji żelbetonowych.

Dzisiejsze budownictwo kościelne posiada swój własny, odrębny styl. Styl, dający się znakomicie dostosować do miejscowości, klimatu, ogólnego pejzażu. Styl prosty, surowy niemal. Wysokie, strzeliste wieże, gładkie, lśniąco ściany, nie przeładowane zdobami, duże, wysokie okna, przepuszczające masę światła.

Podczas gdy dawniej budowniczy dokazywać musiał niemal cudów odwagi, mając do czynienia z materiałem tak ciężkim i mało podatnym, jak cegła lub kamień, — dziś ma on do dyspozycji materiał o dziesięciokrotnie mniejszej objętości, materiał lżejszy, a trwalszy, a cała budowa wymaga bezporównania mniej czasu i kosztów.

Jedną z najwspanialszych budowli takich jest ukończona świeżo w Rzymie bazylika Chrystusa — Króla, pod którą kamień węgielny położono jeszcze przed czterdziestu laty. Bazylika ta sprawia wręcz imponujące wrażenie, a jest widnym wyrazem hołdu całego świata chrześcijańskiego dla Pana nad Pany. Jest też dokumentem głębokiej wiary i uczuć całej ludzkości, w której ciężkie doświadczenia ostatnich dziesiątek lat wiarę tę wzmocniły i podsycały nowym płomieniem.

O rozlicznych, nieograniczonych niemal możliwościach tego nowego stylu w budownictwie kościelnym, pozwalającego na swobodne wypowiedzenie się artysty i dostosowanie architektury zarówno do terenu i otoczenia, jak i do pewnych charakterystycznych cech ogólnego pejzażu, czy do dachu narodo-

wego lub regionalizmu, — świadczą wznoszone ostatnio kościoły w rozmaitych krajach i różnych częściach świata.

Wymieniamy tu przykładowo kościół zbudowany we Vrsovicach koło Pragi, gdzie architekt, licząc się z nierównym pochyłym terenem, skonstruował dach kościoła we formie czterech, opadających coraz niżej teras.

Imponującą budowlą jest kościół wzniesiony w Tulsa, w stanie Oklahoma (U. S. A.). Olbrzymi ten budynek, wyprawiony zzewnątrz cegłą, a ozdobiony w strzeliste wieże i koronkowe niemal gzymsy, zbudowany jest w stylu surowego angielskiego gotyku, stosowanego zwłaszcza chętnie w Irlandji w początkach dziewiętnastego wieku.

Bardzo ładnym i ciekawym okazem tej nowoczesnej architektury jest również kościół Redemptorystów w Warszawie, którego budowa trwała od lipca 1932 do października 1933. Koszty budowy tego kościoła, o ogólnej kubaturze 11 tysięcy mtr. sześć, wyniosły niewysoką stosunkowo sumę około 300 tysięcy złotych.

Jest rzeczą charakterystyczną, że najsilniejszy rozwój budownictwa kościelnego po wojnie notuje Francja.

Prawda, że Francja najdotkliwiej odczuła skutki i całą grozę spustoszenia wojennego. Ale w tym kraju, gdzie kościół nie cieszy się szczególnymi względami i opieką sfer decydujących, w kraju, gdzie masoneria przeprowadziła rozdział kościoła od państwa, — odbudowa zniszczonych i budowa nowych kościołów spadła wyłącznie na barki samego duchowieństwa, bez jakiegokolwiek — z reguły — pomocy ze strony rządu.

Inicjatywę ujął w swe ręce kardynał Verdier, dokazując niemal cudów. Wystarzał się o pożyczkę dwudziestu milionów franków, zabezpieczoną jedynie przychodami z ofiarności całego społeczeństwa. Pożyczka ta pokryta została w całości dosłownie w ciągu kilku godzin: subskrybentami byli drobni rentjerzy, kupcy i cała średnio - zamożna budźuazja, dając tem wymowne świadectwo głębokiej religijności i przywiązania do Kościoła.

I oto dotychczas kardynał Verdier zdążył już osobiście poświęcić i położyć kamień węgielny pod sześćdziesiąt zgórą kościołów i kaplic, rozrzuconych na terenie całej Francji, — począwszy od kościółka św. Joanny d'Arc w Gennevilliers, aż do znajdującego się na ukończeniu wspaniałego kościoła św. Ducha w Paryżu.

W konstrukcjach tych wypowiedział się geniusz francuski, umiejący szczęśliwie pogodzić wdzięk i lekkość budowy z zasadniczymi kanonami Kościoła — i tworząc w rezultacie rzeczy naprawdę piękne, oryginalne, będące dokumentami dzisiejszej epoki, symbolem tego, co trwa wiecznie i nie przemija.

(R.)

Hiszpańska „piatiletka“

Przewroty polityczne i wstrząsy wewnętrzne, jakie przechodziła Hiszpanja od chwili obalenia dyktatury Primo de Riveri, musiały odbić się ujemnie na życiu ekonomicznym tego kraju.

Sytuacja pogorszyła się znacznie skutkiem światowego kryzysu, w ślad za czem poszło ograniczenie produkcji i konsumpcji wewnętrznej, zmniejszenie się eksportu i wzrastające stale bezrobocie.

Pragnąc temu zaradzić, przystąpił rząd hiszpański do akcji, zakrojonej na olbrzymią skalę, a zmierzającej do podźwignięcia ekonomicznego kraju. Opracowany został kompletny plan kampanji, wzorowany poczęści na sowieckiej „piatiletce“.

Plan ten przewiduje podjęcie wielkich robót publicznych i budowy rządowych, wartości 1 miljarda pesetów, — dalej rozbudowę dróg publicznych, lotnictwa, stacji radiowych, a wreszcie elektryfikację całego kraju.

Ten ostatni zwłaszcza punkt programu przedstawia się niezwykle interesująco. Idzie tu mianowicie nie tylko o wyzyskanie olbrzymiej energii wodnej dla wytwarzania elektryczności, — lecz równocześnie — przez budowanie tam i zbiorników wodnych oraz kanałów irygacyjnych — o dostateczne nawodnienie całej południowo-wschodniej połaci kraju, od Walencji do Almerii.

Tereny te, nadające się, dzięki ciepłemu klimatowi, pod kulturę pomarańcz, winogron, oliwek itp., nie mogły być dotychczas należycie eksploatowane, właśnie dla braku wody, a skąpych stosunkowo opadów atmosferycznych.

Równolegle z tem podjęte zostały prace „Centralnego Biura badań hydrograficznych“, obejmujące między innymi regulację rzek Tajo, Duero i Guadalquivir, częściowo w ścisłym porozumieniu z rządem portugalskim.

Pierwszym widocznym znakiem tej akcji jest olbrzymia tama wodna w Alcala del Rio, między Cordobą a Sewillą, zaopatrująca w energię elektryczną i we wodę całą prowincję Sewilla. Druga podobna, jeszcze potężniejsza, tama na rzece Duero, w pobliżu granicy portugalskiej, umożliwiła wystawienie stacji elektrycznej o sile 200 tysięcy koni parowych, a wydatność 450 milionów kilowatów - godzin rocznie.

Prace te wpłyną bardzo korzystnie na rozwój przemysłu rodzimego i rolnictwa, przyczem myślą przewodnią rządu jest dążenie do zupełnej samowystarczalności.

A posiada po temu Hiszpanja wszelkie dane: Olbrzymie pokłady węgla kamiennego, rudy żelaznej, dalej bogate złoża cynku, ołowiu, soli potasowych i rtęci. W produkcji rtęci zajmuje Hiszpanja naczelne miejsce, a kopalnie rtęci w Almaden, eksploatowane przez państwo, wyprodukowały od roku 1864 ponad 160 tysięcy ton rtęci.

W trosce o rozwój i podniesienie przemysłu rodzimego rząd hiszpański przyznaje specjalne ulgi podatkowe i taryfowe przedsiębiorstwom krajowym, chroniąc się równocześnie wysokimi stawkami celnymi przed konkurencją zagranicy.

Toteż zauważyć się daje powolny, ale nieustanny wzrost produkcji krajowej we wszystkich działach przemysłu.

Tak np. państwowe zakłady kolejowe, które w roku 1905 wypuściły ze swych warsztatów pierwszy parowóz, produkują obecnie rocznie dwa tysiące wagonów i cały sprzęt kolejowy, a niedawno uzyskały poważną dostawę materiału kolejowego dla Bułgarii, bijąc zwycięsko wszelką konkurencję.

Ostatni przewrót polityczny pociągnął za sobą głębokie zmiany w całym życiu ekonomicznym kraju. Konstytucja hiszpańska z roku 1931 przewiduje upaństwowienie zakładów użyteczności publicznej, racjonalizację przemysłu i wywłaszczenie ziemi, co już w znacznej mierze znalazło zastosowanie przy przeprowadzeniu reformy rolnej.

Ten ostatni moment ma ogromne znaczenie w dalszym rozwoju rolnictwa, stanowiącego podstawę dobrobytu ludności.

Dotychczas bowiem Hiszpanja — eksportując wina, owoce południowe, oliwe, zmuszona była sprowadzać corocznie duże ilości zboża, bydła, drzewa, nie mając odpowiednich warunków do prowadzenia intensywniejszej gospodarki rolnej.

Zrealizowanie tego, na szeroką skalę zakrojonego, planu połączone będzie z dużym wysiłkiem finansowym: ogólny koszt „piatiletki“ obliczony jest na sumę sześciu miliardów pesetas. Ale zrealizowanie tegoż stanowić będzie niewątpliwie epokę w życiu ekonomicznym Hiszpanji, która po przejściowej depresji wkracza na drogę odrodzenia i racjonalnego rozwoju.

(R.)

Wiadomości o kopcu Krakusa w najdawniejszej literaturze polskiej

W przeddzień rozwiązania wielkiej i ważnej zagadki — tajemnicy kopca Krakusa — zaciekać wszystko, co z przeszłością i istotą jego ma jakikolwiek związek. Związek bezprzecnie ważny mają najdawniejsze wiadomości w literaturze polskiej o kopcu, jego łączności z Krakusem i czasie powstania.

Najstarsza księga polska, t. j. Marcin Gallusa-Anonima „Kronika polska” nie zawiera żadnych wzmianek o Krakusie wogóle; kronika rozpoczyna się opowieścią o Popielu i Piaście, czyli kręgiem t. zw. legend wielkopolskich, odbijając tem od małopolskiego charakteru kroniki Kadłubka z XIII wieku. Legendy o Krakusie i Wandzie, o Popielu i Piaście, to znamieny dualizm polityczny dawnej Polski, dzielącej się wyraźnie na Małą i Wielką. Jest przypuszczenie, że legendy t. zw. krakowskie są tworem fantazji mistrza Wincentego, podnieconej barwnymi podaniami nadreńskimi.

Istotnie Krakus pojawia się poraz pierwszy w „Chronica Polonorum” biskupa krakowskiego. Dokładnie nazywa się on tam „Graccus” i jest Rzymianinem, przybyłym w te strony, którego Polacy, po podbiciu Rzymian i Gallów, wybierają na króla, a że „nie był bitny, dlatego otruty”. „Powtórnie sobie znów wybrali Graka, człowieka przezornego; ten miał dwóch synów i córkę Wandę. Młodszy brat zabił starszego, sam zaś został zabity przez Wandę, gdy się o bratobójstwie dowiedziała. Potem niejaki czas panowała, nareszcie sama sobie życie odebrała i wtedy zakończyło się panowanie bezpotomne”. Grakus pozyskał sobie lud wymową. „Powiedział: że śmiesznym kaleką jest człowiek bez głowy; że czym jest ciało bez duszy, lampa bez światła, świat bez słońca, ten kraj bez króla”.

Mity o bratobójstwie syna Grakusa, o walce ze smokiem i o panowaniu Wandy znane są powszechnie. Opowieść ich realną ściśle podług kroniki Kadłubka zużytkował Norwid w dwu wielkich dramatach p. t. „Krakus” i „Wanda”. Po obraniu królem Grakusa III na smoczej skale założono miasto od imienia Krakusa Krakowem nazwane, ażeby Krakus w wiecznej żył pamięci. I nie zaniechano pierwiej pogrzebowych obchodów, aż je ukończeniem miasta zamknięto. Nazwisko miasta niektórzy od krakania kruków, które tamże do ciała się zleciały, wywodzili”.

Być może, że te baśnie sam Kadłubek utworzył, ale raczej szedł on za podaniem ludowym. Zastanawia, że Kadłubek-Krakowianin i tak lubiący baśnie nie wspomina o pobliskiej mogile, chociaż o kopcu mogiłańskim Wandy opowiada. Podobnie Kronika Wielkopolska, czyli t. zw. Boguśła i Godysława Paska z drugiej połowy wieku XIII lub może nawet z XIV, mówiąca już o Krakusie, a nie o Graccusie („Grac. qui legitime corvus dicitur”), wspomina o grodzie na górze Wawel i o skałce („Wanwelnica”), ale ani słowa o kopcu Krakusa.

Poraz pierwszy wzmiankę o tym kopcu spotykamy w naszej literaturze w komentarzu kroniki Kadłubkowej magistra Jana Dąbrówki ok. r. 1440 pisanej: „...Grakusa ciało na miejscu wyniosłem, na górze, którą dziś zajmuje kościół św. Benedykta, pogrzebanem zostało”. Jest to głos jeszcze przed Długoszem, który powiada, że „Krak na górze zwanej górą Lasoty („in monte Lassotino”), pod kopcem pogrzebany został” (Annales

seu chronicae inclity Regni Poloniae”). Szczegóły, zawarte u historyków późniejszych, nie budzą naszego zainteresowania, bo są przeważnie przeróbkami Kadłubka, a nadewszystko Długosza.

Warto tylko wspomnieć, że Marcin Kromer w swojej „Polonii” ustosunkowuje się krytycznie do podań, nie wierzy w smoka i zwalcza twierdzenie, że Krak był rzymskim Graccusem. O rodzaju i historii legendy Krakusowej dowiedzieć się można różnych szczegółów z ciekawych prac Hanny Mortkowiczówny „Podanie o Wandzie” (Warszawa, 1927) i K. Römera „Podanie o Krakusie i Wandzie” w „Bibliotece Warszawskiej” t. III r. 1872, a także z dwu poważnych prac historycznych Karola Szajnochy „Lechicki początek Polski” (1858) i Karola Potkańskiego „Kraków przed Piastami” (1897).

Co do samego pochodzenia nazwy

Kraka, jest ona bardzo stara. Bielowski i Szajnocha uważają ją, jako kontynuatorzy hipotezy najazdu, za północną. Nazwa jednak Krak jest powszechną, powtarza się w historii bajecznej Polski, Czech i Alanów (Krok jest założycielem państwa czeskiego), nazwę Kraków nosi osada na Rugji, jezioro pod Poczdamem i t.

Stanisław Sarnicki w „Descriptio veteris et novae Poloniae” (1585) pisze o kopcu Krakusa i o odbywających się nań uroczystościach rękawki. Rękawka — „ręka usypiana mogiła” (a więc nie rękawem), wedle Brücknera, na określenie takiej właśnie mogiły używana była ogólnie jeszcze w XVII wieku (Słownik etymologiczny). Wobec tego zdumiewa, że Linde nie notuje zupełnie rękawki w tem znaczeniu, a zna ją dopiero Słownik wileński i warszawski, ale tylko ja-

ko obrzęd ludowy w Krakowie — podobnie Słownik gwarowy Karłowicza.

K. Römer we wspomnianej rozprawie tłumaczy, że rękawka pochodzi od „chwytania rękami rozmaitego jada” podczas obchodu święta wiosny, powszechnego na mogiłach u Słowian (istnieją nawet pieśni zwane „mogiłkami” u Żegoty Paulego), obchodzonego 21 marca, na św. Benedykta. Kościół jego stoi obok kopca Krakusa, a część św. Benedykta miała zastąpić pogańską uroczystość. Na tej podstawie stwierdza Römer, że uroczystości rękawki i sam kopiec pochodzą od czasów pogańskich. Potwierdzają to ślady kultury łużyckiej, a nawet neolitycznej, znalezione w czasie prac wykopaliskowych przygotowanych u stóp kopca Krakusa.

Więc kopiec niewątpliwie istniał od najwcześniejszych czasów historycznych, o czym świadczy Długosz, uważając go za starodawny. Tylko związek kopca z Krakiem czy Krakusem wydaje się późniejszy, co wynika przedewszystkiem z milczenia gadatliwego Kadłubka.

Jan Bielatowicz (Kraków)

Jugosłowiański Jankes

Louis Adamić nazywał się niegdyś Lojze Adamić. W r. 1913, gdy miał lat 14, wyjechał z ojczyzny Serbji do Ameryki, otrzymawszy stypendjum Guggenheima. Długo nie wracał, a około wyjazdu jego za morze tworzyły się legendy. On tymczasem kształcił się, przesiąkał amerykańskimi obyczajami i pojęciami, wreszcie wyrabiał sobie imię w prasie i w literaturze. Aż wreszcie w r. 1932 zjawił się we wsi rodzinnej Błato jako stuprocentowy Amerykanin, sceptyk, czciciel postępu, demokrat, dochodzący do komunizmu. Towarzyszyła mu żona Amerykanka. Został w Jugosławii blisko rok i opisał swoje wrażenia w książce p. t. The Native's Return (Powrót do ojczyzny), która zdobyła w Stanach Zjednoczonych wielką poczytność, może niezupełnie zasłużoną.

Bo Adamić wrócił do świata, który przestał rozumieć, wrócił z nieusprawiedliwionem poczuciem wyższości, która wobec starej, nieco prymitywnej, ale czcigodnej cywilizacji narodu rolników wywołuje na jego usta w najlepszym razie pobłażliwy uśmiech. Następnie silił się Adamić, aby swym opisem Jugosławii objąć jak najwięcej zjawisk i szczegółów, o ile możliwości nowych dla amerykańskiego czytelnika. Stąd najczęściej prześlizguje się po powierzchni i nie zstępuje głębiej.

Książka obfituje niewątpliwie w efektowne sceny. Oto przed wiejską chatą w Błato zebrała się cała rodzina, aby powitać Lojzego, który powrócił zza oceanu. Ojciec i matka podają mu ręce z powagą, cztery siostry stoją rzędem pod ścianą, bracia okazują równocześnie dumę i nieśmiałość, a wszyscy spoglądają z zaciekawieniem na jego egzotyczną żonę. Wnet całe towarzystwo zasiada do stołu, pośrodku którego stoi ogromny bukiet niezapominajek. Rodzina Adamicia zapragnęła przyjąć go wystawnie, jest wbród wiejskich przysmaków, ale nikt prawie nie je — przeszkadza dziwna sytuacja, skrepowanie, wzajemne zaciekawienie sobą.

Stryj Adamicia Janec jest umierającym. A przecie chciałby przed śmiercią zobaczyć sławnego bratanka, co jak boski Odyssej poznał obce miasta i ich obyczaje. Więc starzec przez dwa tygodnie siłą woli trzyma się wbrew naturalnemu biegowi rzeczy przy życiu. Wreszcie przyjechał Lojze ze swą Amerykanką, wchodzi do izby. Konającemu zeszytywniały już członek, z trudem obraca głowę w ich stronę, obejmując ich wzrokiem. Ledwie poruszają się bielejące wargi. Z trudnością można odróżniać słowa. A przecie przedśmiertna, z trudem wypowiedziana mowa Janeca zawiera jego filozofję życia:

„Twój dziadek, Lojze... konając... uczył... uczył... Życie jest jak zlizywanie

miodu... zlizywanie miodu z ciernia... Mój ojciec... a twój dziad umierał na tem samym łożku... miał dziewięćdziesiąt sześć lat... wszyscy umieramy... wszyscy stacamy się w długie milczenie...”

W Zagorje stara kobieta opowiadała Adamiczowi, że podsłuchiwała rozmowę między słońcem a księżycem. Dziwi się miesiaczek, że słońce tak punktualnie wchodzi, a słońce odpowiada z uśmiechem:

„Lubię to. Nie sprawia mi kłopotu wstawać tak każdego ranka. Pan Bóg staje co rano nad moim łóżem. potrzasa mną i mówi: Wstawaj, słońko, idź na niebo, wznos się po nim i rób swoje koło, świeć jasno i ciepło... Bo ziemia jest pełna sierót, biedaków. Wiesz, o kim myślę — naprzykład ci ludzie z Zagorje — wszystko najgorsze jest ich udziałem tam na dole. Więc kiedy ja myślę nad tem, jakby poprawić życie na ziemi, ty wstawaj, słońko, aby świecić jasno i ciepło moim sierotom w Zagorje i w każdym innym zakątku, bo ziemia jest ich pełna”.

Zamiast uznać poetyczny urok tej przypowieści, zamiast widzieć w niej owoc rozczulającej wiary, Adamić czyni ją punktem wyjścia do tyrady na temat wyzysku ludu wiejskiego. Nie rozumie powagi i godności rolnika. Jego ideałem jest miasto, mechanizacja wszystkiego, naukowa organizacja pracy i rządy proletariatu. Stąd stare obyczaje, które Adamić opisuje, są dla niego pogardy godnymi zabytkami ciemnoty.

Oburza się np. na życie kobiet jugosłowiańskich. W pewnych północnych okolicach okręcają one do dziś dnia kibic zwojami szorstkiego płótna. Przyczyny tej mody trzeba szukać przed kilku wiekami. Jakiś ludzki stosunkowo dostojnik turecki surowo zabronił wojsku krzywdzić kobiety w stanie odmiennym — i stąd wszystkie kobiety w tych stronach zaczęły udawać ciężę.

Gdzieindziej znów mężczyźni, wojownicy i myśliwi, chcąc uchronić swe rodziny przed Turkami, pobudowali im niedostępne twierdze w skalistych górach. Kobiety żyły tam bezpieczne, a w razie potrzeby umiały się i bronić. Zmieniły się czasy. Jałowe góry nie dają strawy, ludność zaczęła szukać chleba w odległych stronach, sprzedając swe wyroby po krajach Europy, a nawet zahaczając nawet o Amerykę. Ale tak wędrują jedynie mężczyźni. Zbierają grosz do grosza, skapią sobie wszystkiego, nie spoglądają nawet na obce kobiety — bo tam, w górskich warowniach czekają ich żony. I mężowie jawią się raz na rok, na dwa, na trzy, aby spędzić w domu parę tygodni i znowu w świat podążyć.

W południowej Serbji kobieta jest przeważnie jeszcze niewolnicą czy zwierzęciem. Idzie do lasu po drzewo — nie wraca — aż po roku zjawi się z nie-

powiedziem. Dostanie tedy baty — i wszystko wraca do normalnego stanu.

Adamić widzi w tych wszystkich obyczajach jedynie zabytki barbarzyństwa. Nie zwraca uwagi, jakie straszne cierpienia ujarzmionego narodu odzwierciedlają się w owych na północy noszonych pasach i w owem życiu kobiet po górskich warowniach. Jak piękny widać tu ideał życia rodzinnego, kształtującego się wedle starych chrześcijańskich i aryjskich wzorów mimo ucisku dzikiego wroga i trudnych warunków zewnętrznych... Lec Adamić nie umie tego ocenić. Przed zachwyconymi oczyma stoją mu fabryki Forda czy Magnitogorsk...

Zetknął się Adamić i z królem Aleksandrem, ale troskliwie unikał tytułowania go najjaśniejszym panem. Zabraniała tego duma demokratyczna, działała też osobista nieufność i antypatia.

Podziwiał też talent Mestrovicia i nazywa go największym z żyjących dziś rzeźbiarzy, ale pogardza nim za jego nacjonalizm i chrześcijański pogląd na świat...

Jugosławia jest mieszaniną Serbów, Chorwatów, Słowenów, katolików, prawosławnych, mahometan, spokojnych rolników, dzikich pasterzy, czarnogórskich rozbójników i Bóg nie wie czego. Adamić radby wszystkie te żywioły sprowadzić do jednego schematu i traktując ludzi, jak jednej wielkości, ciężaru i barwy figurki, ułożyć z nich nowe społeczeństwo wedle wzoru Marxa i Lenina. Na szczęście życie idzie swoimi drogami, wyłobionymi w ciągu długich wieków, a nie słucha płytkich doktrynerów, co stracili czucie z rodzinną ziemią.

Stryj Mika mówił Adamowiciowi pod cieniem starej gruszy:

„Czuje, że kiedyś, po długich latach, my oracze będziemy tam, gdzie teraz, będziemy czynić to samo, cośmy czynili przez lat tysiąc czy więcej... słońce i deszcz, nasze ręce i siła, nasze zwierzęta pociągowe czy motory czy cokolwiek by je zastąpiło, znaczy, że będziemy żyli, gdzieśmy urodzili się, podtrzymywali istnienie plemienia uprawiali ziemię i dostarczał światu żywności”.

Adamić przytacza te słowa jako dowód ciemnoty i zacofania. A przecie trudno bodaj przez chwilę wątpić, że z tych dwóch ludzi słuszność miał — stryj Mika.

JAN SZARZYŃSKI.



Chcesz odbyć
podróż
tanie - szybko -
wygodnie?
Leć samolotem

Freudystyczna Odyseja

KŁOPOTY KRYTYKA

Nie bez pewnego zakłopotania przyznaje się człowiek, że czytał „Ulissesa”, niewątpliwie najnieprzyzwoitszą książką naszych czasów, w Anglii z tego powodu zabronioną, a drukowaną po raz pierwszy w r. 1922 w Paryżu i później w Niemczech. Krytyk jednak ma prawo czytać wszystko, a obowiązek czytać to, co wyrasta ponad przeciętność i nosi cechy nowości.

Omarwiając zaś takie książki, jak „Ulisses” powinien starać się nie wypaść z równowagi, jak wypadł z niej E. M. Foster, tak określający tę powieść:

Jest to z zawziętością wykonana próba pokrycia błotem wszechświata, odwrócenie wiktoriańizmu, próba osiągnięcia sukcesu złośliwością i plugawstwem tam, gdzie nie osiągnęły go słodycz i światło, uproszczenie ludzkiego charakteru na korzyść piekła.

Oburzenie łatwo zrozumiałe i niema się za co gniewać na autora „Pewnych rysów najnowszej powieści angielskiej” (1927). Z tem wszystkiem Foster skupił całą uwagę na jednym rysie, a „Ulisses” to utwór skomplikowany i ma ich dużo. W jaki kłopot wprowadza krytyków, niech zaświadczy następujący wyjątek z „Literatury i życia dzisiejszej Anglii” Niemca Karola Arusa (1933):

Wiele już znaczeń nadawano tej książce, nazywano ją: olbrzymim zbiorem żartów świata; przedwcześnie urodzonym płodem nowych czasów; przekrojem nowoczesnej cywilizacji; pełną syntezą makrokosmu i narzucającym się trafnością symbolem ludzkości; księgą lucyferyczną i księgą Antychrysta; rozdrapywaniem się do krwi geniusza, który stał się napół obłąkanym; muzeum psychologii seksualnej i nauki o brudzie; podróżą nowoczesnego człowieka od rana do północy; wspnianym monologiem świadomego ducha. „Zagadka Ulissesa” wciąż jeszcze nie jest rozwiązana.

TECHNIKA I STYL „ULISSESA”

Pomijając tę stronę utworu Jamesa Joyce’a, którą tak silnymi wyrazami przedstawił Foster, pozwolę sobie dodać jeszcze jedno określenie: „Ulisses” jest cieplarnią eksperymentów. Akcja obejmuje niecałych 24 godzin i przedstawia bez pominięcia niczego, nawet najtrywialniejszych szczegółów, co w tym czasie robili dwaj ludzie. Naturalnie przesuwają się oni przez rozmaite środowiska, stąd dużo postaci epizodycznych, a jak roślinie trzeba wykopać z korzeniami, tak autor zbacza nieraz ze swej drogi, aby coś powiedzieć o życiu domowym i wogóle o stosunkach tych postaci. Niekiedy zresztą szereguje on swe epizody wedle miejsca, zajmując się osobami, prosto przechodzącymi lub przejeżdżającymi ulicą, lub wedle równoczesności (gdy A czynił to, B czynił tamto, C znów coś innego i t. p.). Żadnego z tych systemów nie trzyma się Joyce stale.

Podobnie ma się rzecz i z techniką opowiadania w ściślejszym znaczeniu. Pod tym względem „powieść” rozpadła się na ustępy, w których mamy kolejno realistyczne opowiadanie autora; krótkie artykułiki dziennikarskie z nagłówkami; opowiadanie w pierwszej osobie; opowiadanie żartobliwie - epickie w stylu starych romansów rycerskich; dialog z obszernymi uwagami scenicznymi; jakby z zeszytu jednej z niższych klas brane odpowiedzi na pytania; bezładny kobiecy monolog bez interpunkcji, jakiego

użył już Dickens w „Małej Dorrit” dla scharakteryzowania postaci, będącej, zdaje się, portretem jego własnej żony. Formy te czasem są dostosowane do tła — n. p. artykułiki pojawiają się w scenie, która rozgrywa się w redakcji.

Bardzo daleko idzie Joyce w eksperymentach językowych. Jest mistrzem igraszek wyrazów, wprowadza onomatopeje, tworząc sowa, mające działać samym dźwiękiem i t. p. Te tendencje spotęgowały się jeszcze w utworach późniejszych od „Ulissesa”. Nie wyłącza też ze względów przyzwoitości żadnego wyrazu ze swego słownika. Gdy mu persadowano, że usuwając plugawe słowa z „Ulissesa”, będzie mógł ogłosić go w Anglii, wybuchnął oburzeniem i wogóle nie chciał na ten temat rozmawiać.

FREUDYZM

Pod tym względem spotyka się Joyce z Lawrence. Przypomina go i ten, że stara się sprowadzić wszystko, co przewija się przez świadomość człowieka, do impulsów seksualnych.

SKĄD WZIAŁ SIĘ TYTUŁ?

Jak powiedziałem, „Ulisses” ma dwie osoby główne, lecz autor towarzyszy — z jedną krótką przerwą — tylko Leopoldowi Bloomowi. Widzimy więc, jak ten wstaje z łóżka, zamienia parę słów z zaspaną żoną, spędza chwilę w absolutnej samotności, kupuje sobie na śniadanie nerkę (jest namietnym zjadaczem „wętrznosci zwierzęcych”), smaży ją i zjada, idzie na pocztę po list od dziewczyny, którą bałamusi pod fałszywym nazwiskiem, na pogrzeb, do redakcji (jest agentem ogłoszeniowym), na lunch, do biblioteki publicznej, do knajpki, jak potem spędza pewien czas na skwerze, obserwując ognie sztuczne, a właściwie siedząc naprzeciw młodej dziewczynie (szczegółów przytaczać nie można), do szpitala położniczego, do „nocnego miasta” czyli dublińskiej Jaszkiwary. Równocześnie poznajemy część drogi dziennej Stefana Dedalusa, z którym tam spotyka się Bloom, aby wziąć go pod opiekę. Wstępują do fiakerskiej knajpy, wreszcie do Bloom, który młodego człowieka traktuje czekoladą i dręczy gadatliwością. Po odejściu Dedalusa Bloom zasypia, a książkę kończy sążnisty monolog jego żony.

Żona ta, z zawodu śpiewaczka, jest, jak stwierdzono, „w przeciwieństwie do Penelopy łaskawa dla swych zalotników”. Niektórzy krytycy rozciągają analogię z „Odyseją” i na postać Stefana Dedalusa, który miałby odpowiadać Telemachowi.

JAMES JOYCE

Przerwijmy teraz analizę utworu, aby słów parę poświęcić twórcy. Nie studiowałem jego życiorysu — a było do tego role, gdyż Joyce ma sporo wielbicieli, drobniostkowo wiążących jego magnum opus z życiem autora i poświęcających temu nieledwie tyle tekstu, ile zawiera go olbrzymi „romans świadomości”. Wystarczy jednak poznać parę utworów Joyce’a — n. p. prócz „Ulissesa” także „Portret artysty jako młodości”. Tu i tam figuruje on jako Stefan Dedalus — pytanie, czy w nazwisku nie przebiega się brak wiary w powodzenie przedsięwziętych eksperymentów i wogóle niezadowolenie z życia.

Dowiadujemy się, że Joyce był studentem teologii, lecz utracił wiarę i prze-

niósł się na medycynę; że zarabiał jako nauczyciel i jako dziennikarz; że popadł w konflikt z rodziną, szczególnie z matką, pobożną katoliczką, która umarła, dręcząc się do ostatka myślami o synu.

Dedalus ma jeszcze chwilę, w których sceptycznie traktuje swój sceptycyzm, jest nerwowy, odczuwa wyrzuty sumienia, nie może znaleźć spokoju, zglusza się bluźnierstwami i cynizmem. Ten żywioł osobisty przybiera największe rozmiary pod koniec sceny w domu publicznym. Stefan ma wizję matki — takiej, jaką widział po raz ostatni, więc w postaci trupa, zżartego przez raka. Lecz trup ten wciąż jeszcze modli się za syna. Stefan broni się, jak zwykle, cynizmem, w pewnej chwili jednak robi mu się słabo.

PRZELAJY PODŚWIADOMOŚCI I WIZJE

„Ulisses” nie jest właściwie przedstawieniem pewnych wypadków, lecz głównie dziejami świadomości lub podświadomości. Autor nie zaznacza nawet, co postaci naprawdę mówią i czynią, a co istnieje tylko, jako impuls w ich duszach lub przebiega błyskawicą myśli przez ich głowy. Przypomina to scenę z „Zygryda”, wysnutą z tego szczegółu, że krew smoka daje zdolność rozumienia głosu ptaków. Wagner przetwarza motyw. Zygryd u niego czyta myśli ludzkie, co jest tak ujęte sceniczenie, że Mime ustawicznie zdradza mowę, a raczej śpiewem swe najskrytsze zamiary.

Joyce nie wysiła się więc wcale, aby wskazać czytelnikowi, gdzie zachodzi wykropkowanie faktów zewnętrznych w wewnętrzne procesy świadomości. Uważa, iż byłoby to zbyt techniczne i dla jego celów nieistotne. Robi coś więcej: Oto często rozwija wspomnienia czy marzenia osób w obrazy, podawane w formie scenicznej. Niezawsze mają one zabarwienie, zgodne z charakterem danej postaci. Zabarwienie to pochodzi wówczas od autora i bywa zwykle ironiczne. Oto przykład:

Bloom wstępuje do knajpy i wpada w znajome towarzystwo. Pić nie chce — jest pod tym względem wstrzemięźliwy, zresztą trzeba by się rewanżować. Przyjmuje więc tylko cygaro i wnet odchodzi. Pozostali podejrzewają go, że wygrał grubo na wyścigach, ale ze skąpstwa nie chce się do tego przyznać, więc ktoś mówi: „Bodajby ten żydysko wyniósł się z powrotem na Węgry”. Teraz następuje uroczyste pożegnanie Bloom, siadającego na okręt, cała niezręczysta scena, wysnuta z wypowiedzianego życzenia, naturalnie odpowiednio wystylizowana.

To znów marzy Bloom o zostaniu merem Dublina — i wpleciona jest wizja. Bloom przyjmuje petentów, słucha mów na swoją cześć i rozkoszuje się popularnością. Wnet jednak pojawiają się zarzuty przeciw niemu, następuje sąd i egzekucja — wogóle Bloom jest w ciągu powieści parokrotnie tracony — autor ma widoczne zamiłowanie do groteskowych okropności.

Podobnie wprowadza Joyce wizję wiecu „przyjaciół Erynu”. Są to cudzoziemcy, przeważnie o śmiesznych dla Anglika, często nieprzyzwoitych nazwiskach. Między innymi figuruje tu „Pan Poleaxe Paddyrisky”.

Warto zanalizować ten żart językowy. Joyce musiał słyszeć wyraz „pan”, a Paderewski był dla niego zapewne w

czasie, w którym pisał (1914—1921), najbardziej znanym Polakiem. Przekręcone nazwisko rozpadła się na dwa wyrazy: Paddy (od Pádraic czyli Patrick) jest wzdrgliwą nazwą Irlandczyka, risky znaczy „ryzykowny”, więc całe nazwisko: Paddy ryzykant. Poleaxe oznacza naturalnie Polaka, lecz jest rzeczą ciekawą, skąd się wzięło. Wyraz ten spotykamy w „Hamlecie”, gdzie prawdopodobnie oznacza topór bojowy (ojciec Hamleta „bił o łód okutym toporem”), lecz niektórzy krytycy widzą tu nazwę naszego narodu (ojciec Hamleta „pobił na łodzi Polaków, jadących saniami” —?). Wogóle Joyce włożył w „Ulissesa” całą swą niecodzienną wiedzę z najrozmaitszych dziedzin i nieraz dobrze trzeba zastanawiać się nad jego wyrażeniami.

Pobył Bloom w zakładzie Mrs. Belli Cohen jest prawdziwą nocą Walpurgii. Odzywają się tu przedmioty martwe, zjawy, wspomnienia i uosobienia, niepodobna też oddzielić rzeczywistości od wytworów fantazji czy to postaci czy autora.

Zastąpienie tradycyjnego wątku powieściowego procesami świadomości i skojarzeniami wyobrażeń nie jest taką absolutną nowością, jakby ktoś mógł sądzić. Pierwszy eksperyment tego rodzaju zrobił bodajże Sterne, ale za naszych czasów istnieje cała szkoła powieściopisarska, przedstawiająca procesy świadomości, a Wirginia Woolf i Dorota Richardson zaczęły ogłaszać swe utwory na kilka lat przed „Ulissesem”.

JOYCE CYNIK

Ze Sternem łączy Joyce’a jeszcze jedna rzecz — pornografia. I w jednym i w drugim wypadku przyczyniła się ona do powodzenia. Lecz tak, jak „Tristram Shandy”, „Ulisses” nie stoi samą pornografią i ma szereg rzetelnych zalet literackich.

Cynizm autora robi jednak przykre wrażenie. Joyce drwi ze wszystkiego. Jego wycieczek przeciw religii nie będzie przytaczał. Podobnie traktuje patriotyzm irlandzki — rzecz dzieje się w „Ulisse” w latach słynnego odrodzenia celtyckiego, a w czasie pisania książki Eryn przechodził tragiczną walkę, lecz kroczył ku tryumfowi.

Osobny ustęp poświęcony jest Szekspirowi. Stefan Dedalus streszcza kilku znajomym, zebranym w bibliotece publicznej, swą rozprawę. Jest to satyra na krytyków, doprowadzająca do absurdu teorie modne przed wybuchem wojny światowej szkoły, która szukała w dziełach Szekspira na każdym kroku żywiołów autobiograficznych. Sonety mają wedle Joyce’a podkład homoseksualny i Hamlet i jego ojciec przedstawiają samego poetę, królowa jego żonę. Bracia Szekspira nazywali się Ryszard i Edmund. Anna Szekspir miała romanować z nimi, a mąż pomścił się, przedstawiając ich jako największych zbrodniarzy, Ryszarda III (który zdobywał miłość Anny!) i Edmunda w „Królu Leary”... Zapytany, czy naprawdę wierzy w te teorie, Stefan odpowiada lakonicznie: Nie.

Jest to ze strony Joyce’a, jak wspomniana poprzednio wizja matki, wyraźna wskazówka, że jego cynizm nie ma charakteru absolutnego, że jest postulatem, jaki postawił sobie autor, i środkiem artystycznym. Naturalnie jednak Joyce nie byłby go użył, gdyby cynizm nie sięgał głęboko korzeniami w jego własną duszę.

MR. DEASY O ŻYDACH

W czym Joyce jest niewątpliwie szczery, to w swej idiosynkrazji do Żydów. Ujawnia się ona i bezpośrednio, w dialogu na ich temat i pośrednio, w charakterystyce osób.

Mr. Deasy, właściciel szkoły, w której uczy Stefan, wypowiada następujące zdanie:

Anglia jest w rękach Żydów. Są wszędzie na najwyższych stanowiskach — opanowali finanse i prasę. Oznaczają zaś oni rozkład narodu. Gdziekolwiek nagromadzą się, oznaczają rozkład narodu.

Stefan odpowiada swymi zwyczajnymi kpinkami, Deasy jednak nie ustępuje i rzuca z patosem:

Zgrzeszyli przeciw światu, więc mają ciemność w oczach i są tulaczami ziemi.

Z tych słów rodzi się wizja:

Na schodach giełdy paryskiej ludzie o złotawej skórze pokazują sobie ceny na palecach, lśniących od klejnotów. Szybkie, chaotyczne gęganie. Zgiełkliwizna, dziwnym tłumem roją się około swej świątyni — z głowami, które pod złe dobrane jedwabne kapelusze coś knują. Ich duże, flegmatyczne oczy zadają kłam słowom, ich ruchy skwapliwe i idiotyczne, lecz oni znają, gromadząc się wokół siebie urazy i wiedzę, że ruchliwość ich na nic. Daramna to cierpliwość i cięć i gromadzić. Czas na pewno wszystko rozmieci na cztery wiatry. Skarb, spiętrzony przy drodze, pada ofiarą grabieży i przechodzi z rąk do rąk. Ich oczy znają hańbę tujaczki i, cierpliwie, znają hańbę ciała.

Po tej wizji proroczej mówi jeszcze Deasy — będący Anglikiem, nie Irlandczykiem — o Irlandji, przyznając jej ten zaszczyt, że nigdy nie prześladowała Żydów. A dlaczego? Bo ich nigdy do siebie nie wpuściła.

LEOPOLD BLOOM

Że antysemityzm Joyce'a nie jest ani pozą, ani ironją widać z osób powieści. Jakże charakteryzuje autor swego „Ulisesa”? E. M. Foster powiada:

Bloom jest cheiwy, rozpustny, tchórzliwy, bez godności, niesystematyczny, powierzchowny, dobrośliwy, a stale na najniższym poziomie, gdy ma wysokie aspiracje.

Zanim natrafiłem w książce Fostera na ten ustęp, próbowałem również ustalić sobie główne rysy tej postaci — i oto ustęp, który znajduję w swoich notatkach:

„Bloom jest skąpy i cheiwy, lubieżny, praktyczny, umiarkowany w piciu, niezbyt odważny, skłonny do świadczenia ludziom drobnych przysług. Píše do kobiet, których osobiście nie zna, plugawę listy. Chowa w biurku pornograficzne kartki. Wie, że żona go zdradza, lecz mu z nią narazie wygodnie, więc milczy. Marzy o wyzyskaniu różnicy między czasem irlandzkim a angielskim. Można by dostać wcześniej od wszystkich telefoniczną wiadomość, że Derby wygrał outsider i zrobić gruby zakład. Jakiby ładny domek Bloom sobie kupił!”

W scenie w domu publicznym Joyce ujmuje odziedziczone po przodkach impulsy podświadome Blooma w wizję jego ojca i dziadka. Ojciec upomina go, aby nie tracił pieniędzy, dziadek natomiast, nazywający się jeszcze Virág, doradza mu, aby sobie wybrał najtęższą dziewczynę. W pewnej chwili wybucha nagle nienawiścią do chrześcijaństwa, Chrystusa i Matki Boskiej, poczem znika.

Bloom nie przyjmuje rady dziadka. Nie pociąga go żadna z młodszych mieszanek domu Mrs. Belli Cohen, lecz sama właścicielka, której nazwisko mówi samo za siebie. Żona Blooma, której kilkudziesięciostrońnicowy monolog, tętnący niesłychaną zmysłowością, koń-

czy książkę, jest pięćdziesięcioprocentową Żydówką po matce...

NIEMA ZŁEGO COBY NA DOBRE
NIE WYSZŁO

Wiemy, że w powojennej Polsce kontakt z literaturami obcymi na specyficzny charakter. Reklamuje się szczególnie wszystko, co nowe i wszystko, co nieprzyswoite. Deklamuje się wówczas o śmiałości, o docieraniu do głębin psychicznych, o pogardzie świętoszkowskich przesądów i t. p. Najczęściej na-

wet znajdzie się tłumacz, z reguły Żyd, pragnący wyciągnąć korzyść z poczytności „Kochanka Lady Chatterley”, „Madonny wagonów sypialnych”, „Cyankali” czy „Podróży do kresy nocy”.

To też dopóki wiedziałem o „Ulisesie” jedynie z prasy i z książek o najnowszej literaturze angielskiej, zachodziłem w głowę, dlaczego u nas o nim tak cicho. Dopiero przeczytawszy, zrozumiałem. Nie plugastwo opisów i nie

cynizm autora tu zadecydował. Ale co godzi w Żydów, jest dla naszej elity literackiej — tej mającej w rękach rynki zbytu, reklamowanej i protegowanej — prawdziwym tabu. Ostatecznie zważywszy wszystkie pro i contra, można powiedzieć, że w tym wypadku sprawdziło się przysłowie: Niema złego, coby na dobre nie wyszło.

Władysław Tarnawski

Epoka lodowcowa w Europie

Przejdzie z okresu trzeciorzędnego (Cenozoicum) do czwartorzędnego, nie odbyło się nagle i bezpośrednio, lecz stopniowo w pewnym okresie czasu, który w porównaniu z jakimkolwiek z poprzednich systemów był znacznie krótszy, — mierzony jednak miarą życia ludzkiego, był bardzo długi. To też niepodobna oddzielić ostrą granicą dyluwium od starszych i młodszych utworów, chociaż odznaczamy całkiem dobrze utwory dyluwialne od utworów starszych. Różnią się one swym wyglądem zewnętrznym, skutkiem małej ilości osadów morskich, a znacznie większej ilości osadów lądowych, osadzonych przez lodowce.

Lodowce są w tym okresie najbardziej godne uwagi, — stanowią bowiem charakterystyczną właściwość dyluwium. Ciekawe to zjawisko wielkiego rozprzestrzenienia się mas lodowych w czwartorzędzie, niepozostało bez wpływu na konfigurację skorupy ziemskiej. W tych jej częściach, gdzie miało miejsce zlodowacenie, jak np. Góry Skandynawskie, Pireneje, Alpy, niziny Niemiec, Polski, pn. i środkową część niziny Rosyjskiej, Grenlandja, pn. część Ameryki, w małym stosunkowo stopniu Azja, Nowa Zelandja, Patagonja, pldn. Australia itd.

Również zachodziły pewne zmiany i wahania w klimacie, który jak wykazały badania, na początku i z końcem dyluwium mało różnił się od klimatu dzisiejszego, zaś w środku czwartorzędzie ulegał większym zmianom. Oczywiście zachodziły wówczas okresy zimna, którego temperatura była niższa, o kilka czy kilkanaście stopni, od temperatury teraźniejszej, jednak nie była tak niska, jakby wynikało z wielkiego nagromadzenia lodów.

Wyjaśnienie tego zjawiska obserwować możemy w małej skali obecnie na Nowej Zelandji, gdzie przy klimacie morskim, lodowce zstępują prawie do poziomu morza, pod szerokością geograficzną Włoch. Obrazuje nam to powstawanie wielkiej ilości lodów, które gromadziły się mogą w zależności od obfitości opadów atmosferycznych, przy niezbyt wysokiej temperaturze lata, a więc w zależności od klimatu morskiego. Zjawiska te tłumaczą temperaturę klimatu okresu lodowego.

Ze zmianą skorupy ziemskiej, klimatu itp. jako pozostałość po lodowcach, mamy osady dyluwialne, które jakkolwiek są rozprzestrzenione na olbrzymich obszarach ziemi, następują jednak poważne trudności w ich badaniu, z powodu zmiennego charakteru, często braku prawidłowego uwarstwienia, oraz małej ilości skamielin w niektórych osadach.

Doprowadziło to do wniosku, że zlodowacenie skorupy ziemskiej, nie było jednolite, lecz że istniało kilka periodów lodowych, rozdzielonych periodami ciepłymi interglacjalnymi (międzylodowymi).

Czy okresy lodowe i międzylodowe występowały równocześnie na obu półkulach, czy też naprzemiennie, — jest jeszcze kwestją sporną. Co do przyczyny samego zlodowacenia skorupy ziemskiej w dyluwium, powstał szereg hipotez, które można by podzielić na dwie grupy: hipotezy telluryczne, — szukające

przyczyny powstania lodów w samej ziemi, i hipotezy kosmiczne, — szukające przyczyny poza ziemią.

Prawda jak zwykle, leży w pośredku. Niesposób jednak przedstawić w szczyptach ramach artykułu wszystkich hipotez odnośnie do powstania lodowców, które choć związane są z tematem, z powodu obfitości materiału, stanowić mogą osobne zagadnienie.

Jako pozostałość po okresie lodowym, znajdujemy nagromadzenia kruchowe moren, glazy narzutowe, luźne bloki skalne, leżące swobodnie, lub tkwiące w glinie dyluwialnej, bardzo często oddalone znacznie od śladów obnażeń pierwotnych tej samej skały. Dalej widoczne ślady polodowcowe znajdujemy w postaci zarysowań i zadrapań skorupy ziemskiej, wspomniane osady lądowe, torfowiska, osady wód słodkich i osady morskie. — te ostatnie bez większego znaczenia, z powodu małej ilości.

W osadach lądowych wyróżniamy nieuwarstwowaną glinę lodowcową z glazami erratycznymi, występującą w dwu odmianach: dolnej, — szaro-niebieskiej i górnej, — brunatno-żółtej. Gliny te są rozdzielone utworami uwarstwowanej gliny, żwiru i piasku. Obie te odmiany nieuwarstwowanej gliny odpowiadały okresom zlodowacenia, zaś dzielące je osady uwarstwowane, są pochodzenia okresu interglacjalnego i zostały osadzone przez wody spływające z topniejących lodowców.

Spotykane w niektórych miejscach większe ilości pokładów gliny lodowcowej, świadczą o tem, że występowały tam liczne wahania w zlodowaceniu. Wkońcu ważnym utworem dyluwialnym, jest less, glina piaszczysto-wapienna, koloru żółtego, posiadająca włoskowate rurczki (pozostałość po zbutwieniu korzonków roślin), wypełnione osadami wapiennymi.

Prócz tego znajdują się w glinie lessowej liczne konkrecje wapienne, tzw. „lalki lessowe”, muszli ślimaków lądowych i kości zwierząt stepowych. Osady lessu powstały z końcem epoki lodowej, skutkiem działania wiatru w klimacie stepowym. Less — znajdujemy w dużej ilości w Chinach pn., w okolicach Dunaju i Renu, oraz w nizinie Niemieckiej, Polskiej (Sandomierskie, Lubelskie, Podole i Wołyń) i nizinie Rosyjskiej.

Niesposób opisać epoki lodowej we wszystkich częściach świata, ograniczę się więc do przedstawienia w najogólniejszych zarysach działalności lodowca w Europie, oraz jego rozmiarów.

Na południu Europy siedliskiem lodowców były Alpy, z których po stronie północnej, rozprzestrzeniały się olbrzymie masy lodowe, spływające głównymi dolinami Alp i zlewające się w krainie przedalpejskiej w jednolite, szerokie płaszczyzny lodowe.

Po stronie południowej Alp, z powodu wyższej temperatury powodującej szybsze i intensywniejsze taniecie, lodowiec nie tworzył jednolitej powłoki lodolodu. — Spływające dolinami pld. Alpejskich rzek: Sarki, Adygi, Tessyny, Oglio itp. lodowce, osadzały przed wyłotami dolin półkoliste amfiteatralne wały morenowe.

Na pn. stronie Alp występujące róż-

ne grubości i rozległości rzek lodowych świadczą, że zlodowacenie okresu dyluwialnego zmniejszało się z zachodu na wschód. Najpotężniejsze lodowce występują w dolinie Rodanu. Najwspanialszy ten lodowiec dyluwialny rozdwojony w swym biegu górami Jura, rozdzielił się na dwie odnogi; jedna za doliną Rodanu, która podążała w kierunku pld.-zach. i wzmocniona lodowcem wypływającym z doliny Arvy ku Chamonix, dosięgała okolic Lugdunu, gdzie po przyłączeniu się lodowca z doliny Izery — dotarła jeszcze bardziej na południe. Druga odnoga lodowca Rodeńskiego — posuwała się w kierunku pn.-wschd. przez okolice jeziora Neuchâtelskiego, doliną Aaru, aż do Aaru.

Z innych lodowców alpejskich, do wspaniałych zaliczyć należy lodowiec reński, którego główna masa spływała wzdłuż doliny Renu pokrywała jeziora Bodeńskie i sięgała na pn. do okolic Sigmaringen i Biberach. Dalej lodowiec Innu, lodowiec Pasterzański, z pld. pasma Turni, oraz cała masa mniejszych lodowców.

Europa północna — przedstawiała zupełnie inny typ zlodowacenia niż w Alpach. Pokrywa lodowa, która brała swój początek w górach Skandynawii, była znacznie większa niż w Alpach. Głazy narzutowe ze Skandynawii, znajdujące się na wybrzeżu angielskim, u ujścia rzeki Renu, na krawędzi gór Kruszcowych w Saksonji, na równinie Polskiej u stóp Karpat, nad Dnieprem i t. d.

Granice więc maksymalnego zlodowacenia Europy pn. rozprzestrzeniające się ze Skandynawii promieniście we wszystkich kierunkach, przechodziły przez półwysep Kolski i Finnmarken, skąd spływał lodowiec na pn. i pn.-wsch. do morza arktycznego. Z zachodu Norwegii na zach. sięgał lodowiec do oceanu Atlantycznego, i dalej aż poza wyspy Sztetlandzkie. Z pld. Norwegii przechodził lodowiec przez Danję, Niemcy pa-zachodnie i Holandję, wypełniając morze Niemieckie i docierając do ujścia Renu i Tamizy.

Ze Szwecji środkowej masy lodowe spływały przez morze Bałtyckie, Niemcy, Góry Harcu, aż do gór Kruszcowych i Sudetów. Ze Szwecji pn.-wsch. natomiast, rozprzestrzeniał się lodowiec na zatokę Botnicką, Finlandję, Niemcy pn.-wsch., Polskę i część Rosji Europejskiej. Na najdalej wysuniętej części pn.-wsch. zlewał się lodowiec pn.-europejski z lodowcami rozwijającymi się samodzielnie w pn. Uralu, dosięgając oceanu lodowatego.

Kierunek, w jakim następował ruch masy lodowej, znajdujemy na śladach rys lodowcowych na skałach pod moreną denną, oraz na granicy zawleczonych bloków skalnych. Najwybitniejsze ślady kierunku posuwania się lodowców znajdujemy w Skandynawii, skutkiem wielkiego rozprzestrzenienia się tzw. szlifów lodowcowych.

Pozatem istnieje cały szereg pozostałości polodowcowych w Europie, w postaci moren dennych; końcowych i odwrótowych, ławic muszlowych i pozostałości fauny i flory okresu dyluwialnego.

TADEUSZ KWAŚNIEWSKI

120 lat powieści historycznej (7.VII.1814 - 7.VII.1934)

Dnia 7 lipca bieżącego roku, upływa 120 lat od dnia właściwego rozpoczęcia się dziejów powieści historycznej, rodzaju literackiego, niegdyś tak wielkie triumfy święcącego, dziś tak żalosny żywot wiodącego: 7 lipca 1814 roku ukazała się bezimiennie w Anglii powieść p. t. „Wawerley czyli 60 lat temu”, która wlot podbiła, oszłomiła, rozentuzjazmowała krytykę, świat literacki i czytelnicy i wnet obeszła w triumfalnym pochodzie całą Europę, budząc powszechne głosy zachwytu i niezliczone w mgnieniu oka rodząc naśladownictwa.

Pierwsza ta powieść historyczna (w dziś powszechnie używanym znaczeniu tego terminu) była książką na czasie, jak mało która, była bowiem idealnym odzwierciedleniem i spełnieniem marzeń, potrzeb i gustów epoki romantycznej na terenie beletrystyki. Nawracała do przeszłości i jej tradycji, z lubością opisywała życie ludzi dawnych czasów i warunki ich bytu, silnie przesiąknięta była pierwiastkiem ludowości, — a zarazem cechowała ją kult bohaterstwa, skłonność do podkreślania w toku narracji momentów awanturnych, intrygujących, nie raz tajemniczych, — nic więc dziwnego, że powieść ta, dziś raczej nużąca czytelnika, mająca obecnie znaczenie raczej historyczne, — w chwili ukazania się była rewelacją, rozpoczęła nową epokę w dziejach powieści.

Były to pierwsze kroki na polu artystycznego odtwarzania prawdy o dawnych czasach w beletrystyce, toteż i pierwszy autor pierwsze swe kroki stawiał bardzo ostrożnie. Jak widzimy, w pierwszej swej powieści, jakby nie czując się jeszcze na siłach, cofnął się w przeszłość o 60 lat zaledwie.

Zachęcony jednak i ośmielony sukcesem, coraz to odważniej sięgał w coraz to bardziej zamierzchłe epoki: naprzód do czasów rewolucji i wojny domowej angielskiej, potem do epoki reformacji, potem jeszcze dalej, bo do rządów króla francuskiego, Ludwika XI, aż dotarł wreszcie do głębokiego średniowiecza, do epoki wypraw krzyżowych i Ryszarda Lwie Serce. Wszystkie te powieści („Rob Roy”, „Woodstock”, „Legenda o Montrosie”, „Old Mortality”, „Opat”, „Klasztor”, „Quentin Durward”, „Serce Midlothian”, „Talizman”, „Ivanhoe” i inne) wydawał jako „autor Wawerley’a” — wszyscy jednak i w Anglii i poza Anglią doskonale wiedzieli, że twórcą powieści historycznej, człowiekiem, rozpoczynającym w dziejach literatury nową epokę — był sir Walter Scott (1771—1832), twórczość zaś i jego tak wielki wpływ wywarła na całą ówczesną i późniejszą powieść, tak decydująco odegrała rolę w kształtowaniu się i rozwoju nowopowstałego gatunku literackiego przez lat kilkadziesiąt, że prawie w każdej literaturze europejskiej pierwszej połowy XIX wieku odnajdujemy dążności do stworzenia narodowej powieści historycznej na wzór angielski, tj. do przeszczepienia metod i techniki powieści walter-scottowej na grunt dziejów ojczystych.

Stąd pochodzi termin walter-scottyzm, którym określamy całą powieść historyczną, gdziekolwiek wkraczającą już i na teren pozaromantyczny, na teren realizmu. Stąd też mowa o walter-scottyzmie francuskim i niemieckim, włoskim i węgierskim, polskim i rosyjskim i innych.

Najważniejsze cechy walter-scottyzmu są następujące: autor kładzie punkt ciężkości nie na ludzi danej epoki, nie na ich oblicze psychiczne, a w szczególności nie na wielkie postacie dziejowe, które wprowadza zasadniczo epizodycznie tylko, ale na stronę obyczajową epoki, którą stara się odmalować jak najwierniej, opierając się ściśle na dokumentach historycznych i archeologicznych. Przeważa więc opisowość, drobniagowa, często nużąca; fabuła, choć w zasadzie pragnie być intrygująca, awanturzysta, prowadzona jest rozwlekłe, również nużąco nieraz: brak jej dynamiki prawdziwie dramatycznej, efekty rzadko są naturalne i ściśle logicznie z toku akcji wypływające.

Psychologia szablonowa, nie starająca się wnikać w ducha epoki, choć autor tak starannie odmalowuje epoki tej tło, nie mająca ambicji podkreślania różnic wewnętrznych między współczesnymi, a ludźmi dawnych czasów. Treść również szablonowa przejawia: on i ona, dążący do połączenia się w związku małżeńskim, napotykający na przeszkody, przeszkody te zwalczający, rozłączeni przez los, przy końcu zaś powieści prawie zawsze szczęśliwie skojarzeni (klasycznym wyjątkiem z tej reguły jest „Naręczona z Lammermoor” W. Scotta). Najczęściej perypetje pary miłosnej są ściśle związane z jakimś zdarzeniem dziejowym, w którym bohater odgrywa rolę decydującą, w fabule powieściowej odsuwając na plan dalszy postacie naprawdę historyczne.

Wszystkie powyższe elementy z rzadkimi modyfikacjami znajdziemy we wszystkich walter-scottyzmach: a więc i we francuskim, którego głównymi reprezentantami są Wiktor Hugo („Notre Dame de Paris”, „Człowiek śmiechu” — występuje w nich jednak silne piętno indywidualności autorskiej, często nie liczącej się z przyjętymi formami walter-scottyzmu) i Alfred de Vigny („Cinque Mars”, powieść z czasów Richelieu’go o miłości faworyta królewskiego i księżniczki Marii Ludwika Gonzaga, późniejszej królowej polskiej — poprzedzona teoretycznym wstępem o powieści historycznej), — i we włoskim walter-scottyzmie (Aleksander Manzoni „Narzęcenie”), i w niemieckim (Ebers: „Uarda”, „Córka króla egipskiego”), i w węgierskim (Jokay), i w rosyjskim (Danilewski, Zagoskin, „Książę Srebrny” A. Tołstoja).

Walter-scottyzm polski reprezentują Franciszek Wężyk („Władysław Łokietek”), Feliks Bernatowicz („Pojata, córka Lizdejki”, silnie uzależniona od „Ivanhoe’a”) i Henryk Rzewuski („Zamek krakowski”, „Rycerz Lizdejki” i jeden z najlepszych okazów walter-scottyzmu wogóle „Listopad”). Kraszewski ze swą masową twórczością na polu powieściopisarstwa historycznego nie pozbawiony jest pewnej oryginalności i stoi raczej na uboczu od walter-scottyzmu. Najlepszym

zaś może, choć spóźnionym nieco i przez to posiadającym już dużo elementów artystycznych nieromantycznego pochodzenia — okazem walter-scottyzmu polskiego są „Olbrachci Rycerze” Zygmunta Kaczkowskiego.

Specjalny typ powieści walter-scottycznej są powieści historyczne, pisane w pierwszej osobie, a więc niby przez osobę współczesną danej epoce, a często główną rolę w akcji odgrywającą: takie powieści znajdziemy i u twórcy gatunku, Walter Scotta; oprócz niego na tem polu wybija się angielska powieść Thackeray’a „Esmond” (z czasów królowej Anny, pocz. XVIII w.), polska — „Pamiętniki Sewer. Soplicy” Rzewuskiego i rosyjska Puszkina „Córka kapitana” (z epoki buntu Pugaczowa za panowania Katarzyny II).

W żadnej z późniejszych epok nie świeciła powieść historyczna takich świetnych i tak niezliczonych triumfów, jak w dobie romantyzmu, lecz już w pierwszej połowie XIX wieku poczęła objawiać znamiona rozkładu i upadku, ostro krytykowana i wprost odrzucana, jako gatunek sztuki, przez wchodzące na arenę dziejów literatury pokolenie realistów. Przeciwno powieści historycznej ostro wystąpili w początkach obydwu pięćdziesięcioleci XIX wieku dwaj wybitni reprezentanci literatury: w pierwszej połowie stulecia Goethe, w drugiej Zola.

Ale jeszcze u schyłku romantyzmu przeżyła powieść historyczna ponowną chwilę triumfu. Nie była to już powieść ściśle walter-scottyczna, cechowała ją ożywienie wybitnych postaci dziejowych i wplecenie ich do właściwego toku akromansu bulwarowo-awanturczo-historycznego (Eugeniusz Sue „Żyd Wieczny Tułacz”, Ponson du Terrail „Przygody miłosne Henryka z Nawarry”) i uszlachetniając ten typ powieści, podnosząc go do godności dzieła sztuki — udynamiczowała i uduchawiała fabułę historyczną, czyniąc beletrystykę historyczną literaturą niesłychanie porywającą i emocjonującą. Twórcą tej nowej odmiany powieści historycznej był autor francuski, Aleksander Dumas — ojciec

(1803—1870), twórca olbrzymich cyklów powieściowych z czasów „ancien régime” i rewolucji francuskiej, utworów na tle walk religijnych we Francji w XVI wieku, a przedewszystkiem głośnych „Trzech muszkieterów” i ich dalszego ciągu „20 lat później” i „10 lat później” czyli wicehrabia de Bragelonne.

Epoka realizmu i pozytywizmu może się poszczycić dwoma wielkimi osiągnięciami na polu powieści historycznej: jedno z nich to najdoskonalsze wcielenie kanonów estetyki realistycznej, potraktowanie dzieła sztuki, jako przepięknej fotografii, jak najwierniej odtwarzającej rzeczywistość, — „Salammbo” Gustawa Flauberta, wspaniałe studium z zakresu starożytności kartagińskiej, a zarazem studium duszy kobiecej.

Drugie — to próba artystycznego zademonstrowania materialistycznego i pozytywistycznego wyznania wiary w tworzenie dziejów przez masy i przez zgóry ustalone prawa naturalne, próba dokonana przez Lwa Tołstoja w „Wojnie i pokoju”, wspaniałym arcydziele epickim z czasów wojen napoleońskich. „Wojna i pokój” jest o wiele bardziej udanym dziełem sztuki, niż próbą artystycznego dzielenia historiografii pozytywistycznej.

Poza temi dwoma prawdziwymi arcydziełami. powieść historyczna w epoce realizmu prawie jakby nie istniała. Odrodzenie tego rodzaju literackiego zawdzięcza historia literatury Polakowi, Sienkiewiczowi, który w „Trylogii” i „Krzyżakach” stworzył arcydzieła nowoczesnej epiki niewierszowanej, w „Quo vadis” zaś zaprezentował zdumionemu i zachwyconemu światu największe, najdoskonalsze, najbardziej harmonijne i najpiękniejsze dzieło sztuki, jakie kiedykolwiek powstało w dziedzinie powieści historycznej. W twórczości Sienkiewicza dużo jest elementów, typowo walter-scottowskich, cechują ją jednak iście dumasowski dynamizm i artyzm, w niczym nie ustępujący Flaubert’owi: plastyka zaś i rozmach epicki, dostojne dziedzictwo Homera i Rafaela, nie mają sobie równych w całej beletrystyce XIX XX wieków.

„Przodkowie” Freytaga, niemiecka narodowa cykliczna powieść epicka znacznie ustępuje „Trylogii”, jako dzieło sztuki. W dobie estetyzmu następuje odrodzenie powieści historycznej, a więc erotyczno-historycznej we Francji (Piotr Louys „Afrodyta”, Paweł Adam „Bazyli i Zofia”), metafizyczno-historycznej w Rosji („Julian Apostata”, „Leonardo da Vinci” i inne utwory Mereżkowskiego, „Anioł płomienny” Brissowa), społeczno-psychologiczno-historycznej w Polsce („Ostatni sejm Rzplitej” Reymonta, „Popioły” Żeromskiego, „Beniowski — Ocean” Sieroszewskiego).

W wieku XX-tym — najbardziej ahistorycznym wieku, szczególnie w okresie powojennym, kiedy to kultura stoi wyraźnie pod znakiem negacji historyzmu, powieść historyczna prowadzi żywot bardzo żalosny. Przeważa tandeta literacka z dziedziny t. zw. „żywołów romansowych”, rzadko zdobywająca się na wykrzesanie z siebie jakichś walorów: naprawdę artystycznych (Maurois, jeszcze najwyżej stojący, znacznie gorszy: Ludwig i Wasserman. Panoszy się gdzieś niedługo romans brukowo-sensacyjny-pseudo historyczny (Zewaco), widzimy objawy historycznej powieści społecznej (w Rosji sowieckiej, w Polsce — Kaczkowski „Kordian i cham”), ze zdumieniem też zauważamy wysoko wartościową pozycję artystyczną na polu nawrotu do powieści historyczno-obyczajowej, walter-scottycznej niemal, choć i znacznie pogłębianą psychologicznie (Sygrydy Untset „Krystyna, córka Lawransa”). Najwyżej jeszcze stoi powieść historyczna rosyjska, zarówno emigracyjna, jak i sowiecka tworząca wartościowe pozycje artystyczne w utworach Aldanowa, a głównie we wspaniałej powieści Aleksego Tołstoja „Piotr Pierwszy”, która obwieszcza nową epokę rozwoju epickiej plastyki i rozmachu i wspaniałego renesansu historyzmu w literaturze światowej.

Renesans ten jest blisko. Tak wierzymy.

TEODOR PARNICKI.

Niezwykły internat

W Spandau pod Berlinem istnieje od niedawna internat dla dzieci obojga płci, dotkniętych wrodzonymi ułomnościami w budowie kośćca, w szczególności zaś skrzywieniem lub niedorozwojem kręgosłupa.

Założycielem tego internatu jest znany lekarz niemiecki dr. Klapp, który stosuje zupełnie oryginalny system kuracji. Wyklucza on wszelkie zabiegi ortopedyczne, bandażę ustalającą, gorszy i t.p., uważając je za pewnego rodzaju narzędzia tortur, ograniczające dziecku swobodę ruchów.

Dziecko powinno — jego zdaniem — żyć ile możliwości normalnym życiem, powinno korzystać ze wszystkich rozrywek i zabaw, dostępnych innym jego, zupełnie zdrowym, rówieśnikom, powinno się uczyć wreszcie. Ale z tem jednym zastrzeżeniem, by zbyt słaby lub skrzywiony kręgosłup nie ulegał nigdy wielkiemu obciążeniu, na jakie jest z konieczności narażony, gdy dziecko znajduje się stale w pozycji stojącej lub siedzącej.

Dlatego jedyną dopuszczalną pozycją w tym oryginalnym internacie jest pozycja pozioma, leżąca.

Wszystkie dzieci zaopatrzone są w specjalne ochraniacze na kolana, dłonie i stopy. Od samego rana rozpoczyna się w internacie niezwykły ruch: na czworakach suną szeregi dzieci na poranną lekcję gimnastyki, poczem następuje parę godzin nauki. Dzieci leżą na odpowiednich materacach, mając przed sobą na ziemi podręczniki, książki i zeszyty. Krzesła, stoły, ławki, — to przedmioty

niemal zupełnie nieznane, służące jedynie do użytku nauczycieli.

W takiej samej pozycji leżącej spożywają dzieci obiad i kolację, — w takiej samej wreszcie bawią się, czy uczą się jakichś zajęć praktycznych.

System ten posiada przedewszystkiem ogromną wartość moralną: dziecko odzyskuje szybko wiarę i ufność w życie. Zamiast unieruchomienia w pancerzu ortopedycznym — swoboda ruchów, co prawda zupełnie niezwykłych, możność rozrywki i zabawy w towarzystwie rówieśników.

Zapewne, dziecko to, po wyjściu z internatu, uniesie ze sobą dość oryginalne wspomnienia dzieciństwa, odbiegające daleko od wspomnień dzieci zupełnie zdrowych i normalnie rozwiniętych. Jak jednak uczy doświadczenie, ten nowy system kuracji daje nadszędziewanie dobre wyniki: dzięki pozycji poziomej, w jakiej dziecko znajduje się stale przez czas swego pobytu w zakładzie, kręgosłup nigdy zbyt nie obciążony, stopniowo zaczyna się prostować i rozwijać normalnie, przy równoczesnym wzmocnieniu odnośnych mięśni.

I jakkolwiek system stosowany przez dra Klappa na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie jakiegoś niepoważnego dziwactwa, — osiągnięte dotychczas rezultaty świadczą wymownie o jego skuteczności: ze zakładu w Spandau wychodzi młodzież wyleczona, pełna wiary we własne siły, zdolna do normalnego, samodzielnego życia. Można tedy spodziewać się, że dr. Klapp przejdzie do historii nie jako ekscentryczny dziwak, lecz jako prawdziwy dobroczyńca ludzkości.

(kr.).

Wielkie.